

Owlient



Na imię miała Tormenta

Christine Frassetto

Na imię miała *Tormenta*

Prolog

Mój generale, czy wypełniłem misję, którą mi powierzyłeś?

Galopowałem bez ustanku na południe, przez te wszystkie ziemie. Napotkane barbarzyńskie plemiona mówiły w jakimś niezrozumiałym języku i były wrogo nastawione, więc nie mogłem użyć otrzymanej od ciebie przepustki. Niekiedy byłem zmuszony torować sobie drogę mieczem, a potem już unikałem kontaktu z ludźmi. Przejechawszy góry, doliny i równiny, natrafiłem na rozległy obszar słonej wody.

Nie miałem innego wyjścia, jak tylko podróżować na zachód wzdłuż wybrzeża i liczyć, że uda mi się znaleźć jakiś sposób, by przebyć morze i jechać dalej na południe. Po drodze znalazłem port, gdzie zacumowano kilka statków handlowych. Porozumiewając się na migi i wręczając kilka twoich złotych monet, udało mi się uzgodnić z kapitanem jednego ze statków, że zabierze mnie ze sobą, lecz konia musiałem zostawić. Z żalem zwróciłem mu wolność. Ledwo zacząłem się cieszyć kołysaniem fal, gdy na środku morza zaatakowała nas galera.

Piraci byli równie okrutni, co przebiegli. Podpłynęli do nas i ustawili się równolegle do naszego statku, a potem rozpoczęli abordaż. Walczyłem dzielnie u boku załogi, lecz wkrótce zrozumiałem, że napastnicy mają przewagę i postanowiłem zaryzykować. Rozciąłem sobie udo, wsunąłem w ranę przedmiot, który mi przekazałeś, i zabandażowałem nogę kawałkiem żagla. Piraci zabili wszystkich ciężko rannych, splądrowali nasz statek i zatopili go. Niedobitków przykuli do wiosła i zaczęli smagać batem. Tak oto rozpoczęło się moje życie niewolnika na galerze.

Na morzu uczestniczyłem w niezliczonych bitwach barbarzyńców, prześcigających się w krwiożerczości. Przeżyłem, będąc ludzkim towarem przekazywanym z rąk do rąk, traktowanym jak prymitywna siła do poruszania wiosłami, bez prawa do narzekania czy błagania o litość. Ucieczka była niemożliwa. Zranione udo niespodziewanie szybko się zagoiło i nikt nie mógł przypuszczać, co jest w nim ukryte.

Mijały miesiące, a potem całe lata w niewoli -- raz na morzu, raz na lądzie. Poznałem w ten sposób rozległy i różnorodny świat, który chciał podbić Aleksander. Byłem niewolnikiem aż do chwili, gdy statek mojego ostatniego pana uległ zniszczeniu w trakcie sztormu. Fale wyrzuciły mnie na nieznaną brzeg wraz z pozostałościami wraku. Pozbyłem się łańcucha, który krępował moje kostki, uderzając nim o skały. Nareszcie sam i na wolności, zostawiłem za sobą morze, którego fale wchłonęły więcej potu i krwi niż wszystkie pola bitwy, gdzie walczyłem u twego boku, generale, ku chwale Aleksandra Wielkiego. Co się z tobą stało po porażce nad rzeką Hydaspes? Co się stało z naszym królem, który spadł z konia i na twój rozkaz został zniesiony z pola bitwy na noszach?

Mam w pamięci obraz tego młodego, błyskotliwego króla, intrygującego i niepokonanego, siedzącego na swym wspaniałym rumaku Bucefale. Każdy z żołnierzy walczących u jego boku bez wahania oddałby za niego życie. Dlaczego jego nienasycone pragnienie podbicia całego świata musiało doprowadzić do tych niesprawiedliwych, niepohamowanych i

szalonych masakr? Do ostatniej bitwy z Hindusami przystąpiliśmy ze strachem i odrazą, tylko dlatego, że nas o to poprosiłeś, Ptolemeuszu. Ludzie wierzyli tylko tobie. A jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że ta bitwa dla większości z nas będzie ostatnią...

Wyrzucony na te brzegi na krańcu świata i otoczony falami od wschodu do zachodu słońca, zrezygnowałem z dalszych poszukiwań drogi na południe. Postanowiłem cofnąć się w głąb lądu. Pewnego razu, gdy zmęczenie samotnością i chorobą złamało moją siłę i odwagę, napotkana kobieta z plemienia barbarzyńców, otoczona wianuszkami wątpliwych dzieci, przygarnęła mnie do siebie i nakarmiła. Nauczyłem się języka, pracowałem z nią na polu i wzbogacałem jej strawę o mięso dzikich zwierząt. Któregoś dnia w trakcie polowania rozdrażniłem górskiego niedźwiedzia. Zanim go pokonałem, zadał mi w walce straszne rany.

Czuję, jak z każdym krokiem ulatuje ze mnie życie. Po pewnym czasie nie mogę już nawet chodzić i czołgając się, wracam do swojej towarzyszki. Nie zdążę zobaczyć twarzy mojego nienarodzonego dziecka, które w sobie nosi. Nie zdążę opowiedzieć jej o przedmiocie ukrytym w moim udzie. Zostanie pochowany razem ze mną na tej obcej ziemi, która mogła pewnego dnia stać się moją ojczyzną. Generale Ptolemeuszu, wywiozłem przedmiot, który mi powierzyłeś, tak daleko, jak tylko mogłem. Choć nie byłem w stanie dotrzeć z nim do południowej granicy, przez te wszystkie lata był -- i nadal pozostanie -- w ukryciu.

Generale, umrę, nie znając odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie. Czy wypełniłem misję?
Żołnierz Efcharisto, około 310 r. p.n.e.

Urodziła się przedwcześnie, w nocy, w trakcie gwałtownej burzy, którą nazywamy *Tormenta*. Gdy mój dziadek Ramundo próbował ratować jej matkę przed wykrwawieniem, ja wycierałem małą klacz słomą, by ją rozgrzać i usunąć z jej ciała pozostałości worka owodniowego. Była bardzo malutka i prawie się nie ruszała. Nie wiedząc dlaczego, zacząłem dmuchać w jej nozdrza z całej siły, tak jakbym umiał natchnąć ją wolą życia mimo swego niedojrzałego wieku pięciu lat. Potem znów zacząłem wycierać jej klatkę piersiową i zagrzewać ją do walki, dmuchając w jej nozdrza, pomimo próśb dziadka, bym przestał męczyć biedną małą. To sprawiło, że wybuchłem płaczem. Trzymałem ją mocno i kołysałem, błagając, by się obudziła. Następnie poczułem, jak dziadek ciągnie mnie za ramię i zmusza, bym wypuścił ją z rąk. W tym momencie rozległ się ogłuszający huk gromu. Głęboko w piersi poczułem intensywne pieczenie i nieruchoma żrebica nagle wskoczyła w moje objęcia. Poluzowałem nieco uścisk, nie mogąc uwierzyć w cud dziejący się na moich oczach. Nogi żrebicy, wiedzione wrodzonym instynktem przetrwania, zaczęły się poruszać w wolnym galopie. Gdy próbowała podnieść łeb, usłyszałem chaotyczne bicie jej serca.

-- Maldito! -- wykrzyknął z niedowierzaniem dziadek. -- Pablo, uratowałeś ją. Patrz, próbuje wstać!

Moje oczy znów wypełniły się łzami, tym razem z radości, gdy obserwowałem, jak nowo narodzony koń próbuje stanąć na nogi, a potem robi kilka kroków, upada ze zmęczenia i znów się podnosi w oszołomieniu, stojąc niepewnie na nogach i poszukując mleka matki.

-- Rozgrzewaj ją dalej -- zawołał dziadek. -- Przyniosę mleko i koc.

Żrebica podeszła z powrotem do mnie, próbując ssać moje palce, uszy i nos, a ja w tym czasie intensywnie masowałem jej ciało. Gdy dziadek wrócił do stajni, cały mokry od deszczu, młoda klacz już spała, oparta o moje ciało. Wsunął mi do ręki butelkę i przykrył moje ramiona kocem niczym peleryną, chroniąc nas od zimna. Wtedy właśnie po raz pierwszy w życiu dostrzegłem wzruszenie u dziadka Ramundo. Żrebica zatrzęsała się we śnie i najpierw ssała powietrze, a potem natrafiła na smoczek i zaczęła pić wielkimi łykami. Dziadek pokręcił głową, a potem wymamrotał:

-- Dzielna mała. Jak ją nazwiesz?

-- Tormenta.

Noc narodzin *Tormenty* to wciąż jedno z moich najsilniejszych wspomnień. Razem dorastaliśmy, poznawaliśmy się i pocieszaliśmy nawzajem. Wkrótce urosła, nabrała sił i stała się piękną, młodą klaczą o jasnej, bułanej maści, czekoladowej grzywie i wysokich, białych pończoszkach. Latem pluskaliśmy się w moim baseniku, wiosną bawiliśmy się w chowanego w wysokiej trawie i nawet nauczyłem ją grać w piłkę! Gdyby moja babcia nie była taka nieugięta -- "Verdammt, wir sind keine Tiere" (nie jesteśmy zwierzętami!) -- zapewne każdej nocy spałbym w stajni obok mojej klaczy. Pierwszy dramat rozegrał się, gdy oznajmiono mi, że muszę iść do szkoły. W Argentynie szkoła jest obowiązkowa dla

dzieci w wieku od 6 do 14 lat. W ramach pocieszenia pozwalano mi jeździć konno do szkoły w pobliskiej wiosce, tak jak robiły to dzieci pracowników estancii. "Parkowaliśmy" swoje konie na polu przy szkole. Kolejna tragedia nastąpiła po ukończeniu przeze mnie 14 lat, gdy miałem rozpocząć pięcioletnią naukę w szkole średniej w Santa Rosa, przygotowującą do zdania Bachillerato, czyli matury. Nie mogłem już jeździć konno do szkoły i musiałem podróżować autobusem. Najtrudniejszy był jednak wyjazd na studia do Buenos Aires.

Nie mogłem się oczywiście doczekać, by wyfrunąć z gniazda i zasmakować niezależnego życia w akademikach stolicy, ale jednocześnie byłem załamany koniecznością rozstania się z moją *Tormentą*. Mogliśmy widywać się jedynie w przerwach międzysemestralnych na uniwersytecie. Dziadek Ramundo wziął mnie na rozmowę dzień przed wyjazdem do Buenos Aires. Wiem, że było mu okropnie smutno z powodu mojej wyprowadzki z estancii, gdzie obecnie przyszłość dumnych gauchos niczym nie różni się od tej, która czeka paesanos, czyli ubogich chłopów. Lecz powiedział jedynie tyle, że jest dumny ze mnie i moich studiów. I wskazał przy tym wiszący na skórzanym pasku kawałek metalu na mojej piersi, odziedziczony po naszym przodku Estebanie, który noszę od dzieciństwa:

-- Zawsze przynosił naszej rodzinie szczęście. Nigdy się z nim nie rozstawaj i bądź silny. I nie zgub się w stolicy. Adios!

Gdy już się dowiedziałem, skąd pochodzi ten przekłety kawałek metalu, zrozumiałem, dlaczego nigdy nie przyniósł mi szczęścia...

"Meksykanie pochodzą się od Azteków, Peruwiańczycy od Inków, a Argentyńczycy ze statków". Octavio Paz, poeta, eseista i meksykański dyplomata (1914--1998)

W 1877 roku mój przodek, Esteban Ruiz Escobar Mendoza, został niezwykle ostro potraktowany przez los. Młoda żona i pierwsze dziecko zmarli przy porodzie, epidemia pryszczycy zdziesiątkowała jego stada, a pożar lasu spustoszył pola i farmę. Nie zostało mu nic poza kawałkiem metalu z wygrawerowanymi nieznanymi symbolami, który był przekazywany w rodzinie z rąk do rąk od niepamiętnych czasów i jakimś cudem bez szwanku przetrwał pożar farmy, gdzie znaleziono go w popiołach. Samotny i bez grosza przy duszy, Esteban postanowił wyjechać z ojczystej Hiszpanii i wyruszyć do Nowego Świata, by rozpocząć nowe życie i dorobić się majątku. Do Buenos Aires w Argentynie przybył w 1878 roku.

Esteban był niestrudzonym pracownikiem i udało mu zarobić wystarczająco, by kupić kilka sztuk bydła i ziemię. Wybrał działkę pomiędzy Rio Salado a Rio Colorado, na rozległych, ponurych równinach Pampy, która swą nazwę zawdzięcza plemieniu Indian zamieszkujących niegdyś ten obszar. Esteban zbudował swoją estancję na tych żyznych ziemiach porośniętych soczystą trawą, gdzie konie i bydło mogły się najeść do syta. Wkrótce okazało się, że potrzebuje pomocy przy wypasie bydła, więc najął do pracy gauchos, czyli kowbojów. W języku południowoamerykańskich Indian Quechua słowo "gaucho" oznacza włóczęgę. Są to potomkowie Hiszpanów i Indian, mestizos, odrzuceni przez społeczeństwo. Gauchos dosiadali odważnych koni argentyńskiej rasy Criollo i byli równie małomówni co pracowici. Pewnego razu, jadąc przez swoje ziemie, Esteban spotkał jednego z nich, biorącego kąpiel w rzece. Ze zdumieniem odkrył jednak, że była to młoda kobieta, żyjąca w ukryciu pomiędzy tymi gburowatymi, niezależnymi mężczyznami. To była miłość od pierwszego wejrzenia: Esteban poślubił tę silną, tajemniczą, bezimienną mestizo. Urodziła mu wiele dzieci, które kochała na swój własny sposób, choć ludzie powiadali, że wołała samotną jazdę po pampie. Gdy patrzę na jego wyblakłe zdjęcie nad kominkiem, z zaciętym, zamyślonym wyrazem twarzy i nogami obleczonymi w *guardamontes*, które przypominają skórzane skrzydła motyla i chronią przed zadrapaniami, myślę sobie, że nie chciałbym stanąć z nim do pojedynku. Mój dziadek, Ramundo Ruiz Escobar Mendoza, stwierdził, że z pewnością odziedziczyłem po nim paskudny charakter. Ale człowiek o przezwisku "El Zorro", lis, który żelazną ręką zarządza estancją przekazaną przez naszych przodków, również częściowo odpowiada za ten mój "paskudny charakter". Gdy okazało się, że jego syn nie podąży jego śladami i nie przejmie po nim estancji, przelał związane z tym nadzieje na mnie. A to ogromna presja...

Zauroczony dziewczęcymi blond włosami i intensywnie niebieskim kolorem oczu (który odziedziczyłem), mój drogi dziadek poślubił córkę niemieckich imigrantów, Helgę Siegfried. Mieli tylko jednego syna, Cesara Ruiza Escobara Mendozę, który jest moim ojcem. Jednak on szybko opuścił farmę i został profesjonalnym tancerzem tango. Ach, w tym tańcu rozpalonych ciał i dusz kryje się jakaś wszechogarniająca melancholia... Ojciec

poślubił niesamowitą tancerkę o imieniu Mafalda, moją matkę. I nazwali mnie Pablo, na cześć malarza Picasso, którego zawsze uwielbiała. Oboje oddali się jednak swojej pasji i jeżdżą po całym świecie z pokazami tanecznymi, dlatego powierzyli moją edukację dziadkowi Ramundo i babci Heldze.

Krótko mówiąc, jeżeli faktycznie jestem tajemniczym samotnikiem o paskudnym charakterze, to jest to głównie wina mojej rodziny. Ale gdy siedzę na grzbiecie *Tormenty* i galopuję z pełną prędkością przez rozległą pampę, staję się zupełnie inny. Na mojej twarzy pojawia się tak szeroki uśmiech szczęścia i spełnienia, że muchy mogłyby mi utkwić między zębami.

Muszę wreszcie przestać myśleć o tym, kiedy znowu zobaczę moją klacz, i czym prędzej udać się na salę konferencyjną. Dziś przyjechał do nas z wizytą naukowiec z Mongolii, z drugiego końca świata: profesor Temudjin, który wraz ze swoimi studentami z uniwersytetu w Ułan Bator opracował robota szukającego osób zaginionych w ekstremalnych warunkach pogodowych. Podobno inspiracją do stworzenia tego projektu była prawdziwa historia, która przydarzyła się jednemu z jego studentów w skutych lodem górach Altaj...

Na dziesiąte urodziny otrzymałem pocztą prezent z Szanghaju. Przysłali mi go wiecznie nieobecni rodzice, którzy akurat byli w trasie w Chinach. Kupili mi zdalnie sterowany samolot ze śmigłem, połączony długim przewodem z czymś w rodzaju starej, przenośnej konsoli do gier. Rozradowany, paradowałem po całym domu z moją latającą maszyną i naśladowałem głośny dźwięk silnika, aż w końcu babcia wygoniła mnie na dwór ze stanowczym okrzykiem "Raus!". Jednak dzięki tej zabawce odkryłem w sobie niezwykle zainteresowania. Wyobrażałem sobie, jak z dumą steruję moim samolotem i nic mnie nie ogranicza. Gdy tylko mam ochotę, odwiedzam swoich rodziców na drugim końcu świata, a potem lecę poznawać nieznanne tereny. Byłem bohaterem, łowcą przygód spieszącym na ratunek, dostarczającym żywność do ubogich krajów lub bombardującym groźnych przestępców, w zależności od tego, co mi się akurat zamarzyło. Wcielałem się w rolę Antoine'a de Saint Exupéry'ego i rozwoziłem pocztę po całym świecie dla Aéropostale, bez względu na okoliczności, lub w rolę Charlesa Lindbergha, pierwszego pilota, który samotnie przebył Atlantyk. Będąc niezmordowanym i niepokonanym pilotem, któregoś dnia wylądowałem swoją maszyną... w gałęziach stuletniej jakarandy zasadzonej przez moich przodków przy wjeździe do estancii. Okazałe niebieskie kwiaty tworzyły nad moją głową imponujący nieboskłon i zastanawiałem się, jak wzlecieć w niebo wystarczająco wysoko, by sprowadzić mój samolot z powrotem. Próbowałem oczywiście ciągnąć za przewód jak szalony, ale nic mi to nie dało poza tym, że go wyrwałem. Plan B zakładał wspięcie się na drzewo, ale w tym celu potrzebowałbym drabiny, żeby sięgnąć do pierwszych kilku gałęzi, po których można się wspinać. Wybrałem zatem inne rozwiązanie.

Zagwizdałem przeciągle i moja wierna *Tormenta*, która pasła się nonszalancko kilkaset metrów ode mnie, nadstawiła uszu na moje wezwanie. Zarżała wesoło i pogalopowała w moją stronę. Wepchnęła czubek nosa w moją szyję, skubnęła moje włosy i zaczęła się przechadzać wokół mnie, gotowa do zabawy. Trudno było jej wytłumaczyć, że chciałem ją wykorzystać w charakterze stołka, ale ostatecznie jakoś ją uspokoiłem i skłoniłem, by ustawiła się nieruchomo pod jakarandą. Stałem na jej plecach i z szeroko rozpostartymi ramionami złapałem gałąź i podciągnąłem się do góry jak małpa. By dosięgnąć samolotu, musiałem wspiąć się nieco wyżej. Po kilku manewrach i strząśnięciu całkiem sporej ilości kwiatów jakarandy, w końcu udało mi się oswobodzić samolot. Wydałem z siebie triumfalny okrzyk i w tym samym momencie się pośliznąłem. Pokoziółkowałem w dół, odbijając się od gałęzi niczym przejrzały owoc, i wylądowałem z impetem na ziemi w obłoku niebieskich płatków. Owocami tej wyteżonej pracy był jeden samolot i dwa złamane golenie. Byłem zbyt oszołomiony, by wezwać pomoc, ale na szczęście *Tormenta* narobiła tyle okropnego hałasu, że zwróciło to uwagę pracowników estancii.

Następne kilka tygodni rekonwalescencji zadecydowało o mojej przyszłości. Nie byłem oczywiście w stanie jeździć konno ani chodzić do szkoły, ale niestrudzenie pracowałem nad tym, by naprawić popsuty samolot. Używając części wymontowanych z innych zabawek elektronicznych, które przynosili moi współczujący koledzy, narzędzi

pożyczonych od robotnika, który znalazł mnie pod jakarandą, oraz wskazówek fanów modelarstwa i zdalnego sterowania, udało mi się całkowicie zrekonstruować mój samolot, i to nawet bez przewodu łączącego. W kolejnych latach przed maturą, gdy pogoda nie pozwalała na zabawę na pampie z *Tormentą*, spędzałem wolny czas na ulepszaniu mojego samolotu, korzystając z lepszych i wytrzymalszych materiałów, wydłużając czas lotu i zasięg zdalnego sterowania... zamontowałem nawet podręczną kamerę i wymyśliłem, jak sterować urządzeniem przy pomocy laptopa. Gdy byłem w ostatniej klasie szkoły średniej, mój nauczyciel fizyki przekonał dziadka, aby zapisał mnie na Uniwersytet Buenos Aires. Powiedział mi, że z tak dociekliwym i bystrym umysłem będę mógł się znakomicie rozwijać, odkrywając nowe technologie... a oprócz tego będę mógł skonstruować miniaturową wersję mojego latającego czołgu!

Dlatego teraz studiuje nanotechnologię i zgłębiam tematykę dronów, zarówno tych latających, pełzających, jak i jeżdżących na kółkach. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o tym robocie zbudowanym przez studentów z odległej Mongolii i to jak najszybciej...

Ten "Drobot", czyli dron zaprojektowany przez studentów profesora Temudjina, to naprawdę genialne dzieło! Mimo niezbyt atrakcyjnego wyglądu na pierwszy rzut oka, jego kształt, przypominający coś pomiędzy zmutowaną gąsienicą a latającym karaluchem, umożliwia działanie w każdych warunkach geograficznych i klimatycznych. Robot mógłby zdobyć złoty medal w dziesięcioboju: umie latać, skakać, pełzać, biegać, pływać, jeździć na nartach, wystrzeliwać haki abordażowe, wspinać się po gładkich ścianach i w ogóle wychodzić z każdej sytuacji. Jest także "inteligentny" -- umie się dostosować do każdych warunków i wykonywać operacje na miejscu samodzielnie lub według poleceń zdalnego operatora.

-- Prawie jak robot Luke'a Skywalkera z Gwiezdných wojen, tylko brzydszy! -- śmieje się gromko mój kolega Tiago, klepiąc mnie po plecach.

Nie darowałby sobie żadnej okazji do narobienia mi wstydu swoimi głupimi wtrąceniami. Profesor Temudjin nie wygląda jednak na zbitego z tropu i czeka chwilę, aż śmiech ucichnie, a potem ciągnie dalej.

-- Który, R2-D2 czy C-3PO? W każdym razie, bez względu na jego brzydki wygląd, mam nadzieję, że Drobot będzie równie użyteczny dla ludzkości co te roboty dla Luke'a Skywalkera!

Następnie profesor kontynuuje przemowę. -- Drobot wyposażony jest w liczne czujniki, moduł GPS, sonar, żyroskopy i wiele innych urządzeń. Wszystkie zebrane informacje przetwarza wbudowany komputer, co pozwala robotowi dostosować się do panujących warunków. Może na przykład zareagować na podmuch wiatru lub prąd oceaniczny i skorygować trajektorię. Umie też pobierać próbki materiałów, filmować je, skanować, oświetlać i nagrywać. Krótko mówiąc, robot umożliwia zdalne wykonywanie zadań, które normalnie wymagałyby pracy całego zespołu doświadczonych i dobrze wyposażonych naukowców w laboratorium. A najlepsze jest to, że wszystkie te zadania można zrealizować bez użycia laptopa, wystarczy mieć pod ręką zwykły smartfon! Następnie profesor Temudjin wyświetla krótki film na wielkim ekranie w sali wykładowej, przedstawiający potencjalne zastosowania robota w terenie niebezpiecznym dla ludzi, np. przy ocenie toksyczności zanieczyszczonych wód gruntowych lub inspekcji uszkodzonej elektrowni atomowej, jak ta w Fukushima. Może również przekazywać cenne informacje zespołom ratowniczym w razie pożaru lasu lub poważnej klęski żywiołowej, takiej jak cyklon lub huragan. Możliwości zastosowań do celów cywilnych są niezliczone. Ale szczególne wrażenie zrobił na nas ten fragment filmu, w którym robot wykrył położenie ludzi zasypanych przez lawinę, co przyspieszyło akcję ratunkową i znacznie zwiększyło ich szansę na przeżycie.

-- Widzicie zatem, czym Drobot różni się od dronów wojskowych, przeznaczonych do precyzyjnych, zdalnych ataków wymierzonych w konkretne cele, bez narażania życia atakujących.

Tiago, pacyfista i zagorzały przeciwnik działań wojskowych, wstaje i rozpoczyna jedną ze swoich ulubionych tyrad.

-- To jest haniebnie! Te tak zwane "precyzyjne ataki" wywołują niedopuszczalne szkody. Niewinni cywilne giną lub są okaleczani, a...

-- Zgadza się, młody człowieku -- przerywa profesor, kierując Drobota w stronę Tiago. Urządzenie przelatuje nad salą wykładową i unosi się teraz przed nim w powietrzu, transmitując obraz jego twarzy na dużym ekranie. -- Dlatego zaleciłem moim studentom, aby w zgłoszeniu patentowym wykluczyli możliwość zastosowania tego wynalazku do celów związanych z użyciem przemocy. Przejdę teraz do głównego punktu wykładu -- ciągnie profesor, jednym ruchem palca wydając polecenie na telefonie, by Drobot powrócił na biurko. -- Z uwagi na studiowany przez was kierunek, chciałbym wyjaśnić, w jaki sposób nanotechnologia może się przyczynić do jeszcze większego usprawnienia robota...

Tiago, zdezorientowany spokojem i pewnością siebie tego niesamowitego małego człowieczka, siada bez słowa sprzeciwu.

Na koniec fascynującej opowieści studenci nagradzają profesora gromkimi brawami, a potem powoli opuszczają salę wykładową, wymieniając entuzjastyczne uwagi pełne uznania. Ja jednak postanawiam podejść do profesora, by wyrazić swój podziw i zapytać go, czy zechciałby rzucić okiem na moje dzieło, mój "Drolot". Profesor Temudjin, zajęty pakowaniem swoich rzeczy, podnosi wzrok i uśmiecha się. A ja, jakby pękła we mnie jakaś wewnętrzna blokada, wyrzucam z siebie pełną emocji opowieść o moim samolocie. Po chwili jednak dostrzegam, że przestał mnie słuchać. Profesor skupia wzrok na mojej klatce piersiowej, a potem znów spogląda mi w twarz. Wygląda na zdumionego. Inni studenci próbują z nim rozmawiać, lecz profesor Temudjin ignoruje ich, gorączkowo przeszukując wewnętrzną kieszeń garnituru. Wyjmuje z niej długopis oraz mały, podniszczony notatnik, które mi następnie wręcza.

-- Zapisz tu swoje nazwisko i numer telefonu. Prześlij swoje plany i zdjęcia na adres e-mail Uniwersytetu Ułan Bator.

Z drugiej kieszeni wyciąga smartfona i pyta:

-- Czy mogę zrobić ci zdjęcie, żeby cię lepiej zapamiętać? Spotykam tylu ludzi, że trudno mi zapamiętać wszystkie twarze...

Kiwam głową, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Gestem ręki profesor każe mi się przybliżyć, prostuje mój kołnierzyk i robi kilka zdjęć. Jestem okropnie zażenowany tą sytuacją, tym bardziej że Tiago i kilku innych studentów zaczyna mi dokuczać.

-- No, no! Czy señor Pablo ma casting?

W tym momencie zjawia się kierownik studiów, by rozproszyć tłum i przypomnieć profesorowi Temudjinowi, że musi się pospieszyć, jeśli chce zdążyć na samolot. Profesor kiwa głową, chowa telefon, notatnik i długopis z powrotem do kieszeni, łapie walizkę i tuż przed wyjściem szepcze mi do ucha:

-- Ja... ktoś do ciebie wkrótce zadzwoni w moim imieniu. Przepraszam, bardzo chętnie bym jeszcze z tobą porozmawiał. Możesz w pełni zaufać tej osobie...

-- Proszę się pospieszyć! -- woła niecierpliwie kierownik studiów. -- Wie pan, jakie w Buenos Aires są okropne korki...

Tiago łapie mnie za rękę i ciągnie przez tłum, kołysząc się na boki i gdacząc jak kura:

-- Będziesz gwiazdą, querrrido! -- Nakręcą z tobą odcinek "Gry o dron", "Doktora Pablo", a może nawet "Plotkary"! Czy mogę prosić o autograf?

Postanawiam skwitować docinki Tiago śmiechem, ale nie mogę przestać myśleć o dziwnych słowach, które wyszeptał do mnie profesor: "Ktoś do ciebie zadzwoni. Zaufaj mu..."

Mój umysł pracuje na zwiększonych obrotach, wymyślając nowe zastosowania dla mojego Drolotu. Wszedłem właśnie do gwarnej, uniwersyteckiej kawiarni pełnej hałaśliwych studentów i napełniłem swoją tykwę gorącą wodą z dystrybutora. Podobnie jak w niemal całej Argentynie, można tutaj napić się mate (pobudzającego napoju, który spożywamy zamiast kawy i herbaty) o dowolnej porze. Biorę kilka łyków gorącego, lekko gorzkiego naparu przez aluminiową "słomkę" i próbuję pozbierać myśli. Nagle mój telefon zaczyna intensywnie wibrować...

Nieznany numer międzynarodowy. Czy to może być ta zaufana osoba, o której mówił profesor Temudjin? Z lekkim wahaniem odbieram telefon.

-- Mówi John Fitzgerald Hannibal, z firmy Hannibal Corp.

Wpuszczam tykwę z ręki. Czy jest ktokolwiek, kto nie zna pana Hannibala, genialnego miliardera, którego przedsiębiorstwa słyną z opracowywania najbardziej innowacyjnych rozwiązań technologicznych i który sponsoruje naukowców na całym świecie? Któż nie marzy o zdobyciu stypendium, proponowanego wyłącznie najlepiej zapowiadającym się studentom? Nie rozumiem tylko, dlaczego dzwoni do mnie sam pan Hannibal, przecież dopiero co zacząłem studia i jeszcze nie pokazałem, na co mnie stać. Chyba że zarekomendował mnie jeden z moich nauczycieli... a może profesor Temudjin? Nic z tego nie rozumiem. Nie wysłałem mu jeszcze planów mojego Drolotu.

-- Młody człowieku -- ciągnie Hannibal doskonałym hiszpańskim z ledwo słyszalnym amerykańskim akcentem. -- Nosisz wisiołek, który jest dla mnie bardzo interesujący ze względu na jego wartość historyczną. Chciałbym, abyś go przekazał do analizy jednemu z moich ekspertów z Fundacji Historii Ludzkości, którą sponsoruje moja firma. Obecnie pracuje on w Buenos Aires. Przy głównym wejściu na uniwersytet czeka na ciebie taksówka, która zabierze cię na miejsce spotkania. Mój ekspert, Horacio Cortès, wręczy ci rekompensatę za wszelkie niedogodności. Nie trzeba chyba dodawać, że nie powinieneś zabierać ze sobą żadnego towarzystwa.

Nie zdążyłem wtrącić nawet słowa, zanim się rozłączył. Mam okropne przeczucie, że otrzymałem rozkaz, któremu nie mogę się sprzeciwić -- gorsze niż wtedy, gdy dziadek Ramundo wydawał mi polecenia bez żadnego uzasadnienia. Nie znoszę tego, mam ochotę oddzwonić do Hannibala i powiedzieć mu, żeby spadał. Podnoszę pustą tykwę i wpycham ją ze złością do plecaka. Na tle kawiarnianego gwaru słyszę przenikliwy śmiech i machinalnie odwracam się w kierunku, z którego dochodzi. Aha, Tiago znowu popisuje się przed haremem wielbicielek, mdlejących z wrażenia na jego widok. Nic w tym trudnego, jeśli ma się ciało jak Cristiano Ronaldo... Gdy już Tiago rozpocznie swoje popisy, nie daje sobie przerywać. Nawet moje rozpaczliwe wymachiwanie rękami nie jest w stanie przyciągnąć jego uwagi. Chciałem mu powiedzieć o telefonie, ale najwyraźniej wybrałem zły moment. Przelykam narastającą frustrację i przeklinając pod nosem, zmierzam do wejścia na uniwersytet. Ledwo wychodzę za drzwi, gdy dostrzegam kierowcę w zaparkowanej czarno-żółtej taksówce, który sprawdza coś na ekranie swojego telefonu

komórkowego, a potem przywołuje mnie skinieniem dłoni. Tłumaczę sobie, że dziadek na pewno by się ucieszył, gdybym dowiedział się czegoś interesującego o tym przeklętym kawału metalu, który przywiózł z Hiszpanii nasz przodek Esteban...

Kierowca taksówki włączył radio na pełny regulator, przez co nie mogłem go o nic zapytać. Prowadzi samochód niczym Fangio, pięciokrotny argentyński mistrz świata Formuły 1. Buenos Aires zajmuje obszar o wielkości ponad dwustu kilometrów kwadratowych, a plan miasta przypomina bezkresną planszę do gry w warcaby. Gdy po raz pierwszy przyjechałem do stolicy, wysłałem mój Drolot na rekonesans, by zrobić zdjęcie z lotu ptaka. Byłem pod dużym wrażeniem rozciągającego się na wszystkie strony, geometrycznego układu miasta. Kierowca pędzi jak szalony przez "francuskie" aleje, przy których stoją drzewa i budynki w haussmanowskim stylu, ostro hamuje na zakrętach i zdaje się podążać sobie tylko znaną trasą, dlatego nie mogę się zorientować, gdzie jesteśmy, a dodatkowo muszę walczyć z mdłościami. Otwieram okna i kurczowo trzymam się klamki. Wreszcie, po wjeździe na brukowane uliczki, kierowca w końcu zmuszony jest zwolnić. Sądząc po jasnych fasadach budynków na palach, inspirowanych malarstwem Benita Quinqueli Martina z lat 20. ubiegłego wieku, znajduję się w popularnej dzielnicy La Boca. Słyszę głosy przechodniów krzyczących coś do siebie po włosku przez otwarte okna. Na tle zapachu pobliskiej rzeki wyczuwam smakowite aromaty gotujących się pomidorów, smażonych potraw, czosnku i chrupiącej mozzarelli, dochodzące z gwarnych tarasów restauracji. Taksówka trąbi niecierpliwie na wolno spacerujących przechodniów i przedziera się bocznymi uliczkami w kierunku niewielkiego placu na końcu zaułka. Kierowca wysłała SMS i w ciągu kilku sekund zza drzwi porośniętych piękną bugenwillą wyłania się słusznej postury mężczyzna ubrany w lekki lniany garnitur. Mężczyzna wręcza taksówkarzowi plik banknotów i prosi mnie, bym wysiadł z samochodu. Wita się ze mną krótkim skinieniem głowy i przedstawia się.

-- Jestem Horacio Cortès, zajmuję się handlem antykami i pracuję jako ekspert w Fundacji Historii Ludzkości pana Hannibala. Proszę za mną...

Przełykam ślinę i wykonuję polecenie. W co ja się wpakowałem?

Idę za Señorem Horacio Cortèsem przez labirynt ciemnych korytarzy prowadzących do przestronnego pomieszczenia skąpanego w promieniach słońca, które wpadają przez duże okno wykuszowe. Za oknem rozpościera się widok na niesamowity dziedziniec: nie mogę się zdecydować, czy podziwiać eleganckie orchidee, jedwabiste róże czy rzędy pięknych, wielokolorowych kwiatów. Odwracam się w kierunku pokoju, a moje oczy powoli przyzwyczajają się do oświetlenia. Wdycham unoszący się zapach wosku pszczelego. Promienie słońca odbijają się od idealnie wywoskowanego złotego parkietu i padają na meble: duże, rzeźbione biurko inkrustowane masą perłową przy którym stoją fotele klubowe z miękkiej skóry. Wzdłuż ścian stoją sięgające sufitu regały wypełnione starymi książkami i różnymi antykami. W tej kameralnej przestrzeni, położonej na uboczu biednej dzielnicy, panuje atmosfera luksusu i wyrafinowania...

-- Usiądź proszę -- mówi Cortès, wskazując stojący naprzeciwko niego fotel.

Przesuwa w moją stronę kryształową szklankę lemoniady z pobrzękującymi w środku kawałkami lodu, a następnie bierze głęboki łyk ze swojej, mierząc mnie wzrokiem bardzo dokładnie. Odkładam szklankę z powrotem na zdobioną tacę, a Cortès wyjmuje z szuflady przezroczysty pojemnik z pleksiglasu. W środku znajduje się sprzęt godny stomatologa. Wypielegnowaną dłonią macha w kierunku dzielącej nas skórzanego podkładki na biurko.

-- Pokaż mi przedmiot.

Niechętnie zdejmuję wisiołek z szyi i kładę go na podkładce. Cortès przykłada do oka coś w rodzaju szkła powiększającego i obraca wisiołek za pomocą precyzyjnej pęsety, podobnej do tej, której używają kolekcjonerzy znaczków. Na jego twarzy nie widać ani śladu emocji czy szczególnego zainteresowania. Ale dla niego, jako eksperta od antyków, jest to zapewne część zwykłej pracy... Następnie odkłada przedmiot i rzuca od niechcienia:

-- Ten kawałek złomu nie ma żadnej wartości rynkowej. Ale to już pewnie wiesz.

Wzruszam ramionami.

-- Nie jest to złoto, tylko stop starego metalu. W każdym razie nie jest na sprzedaż. To pamiątka rodowa.

-- Opowiedz mi zatem, co twoja rodzina wie na temat tego wisiorka -- ciągnie Señor Cortès, odkładając szkło powiększające i ustawiając się wygodnie w fotelu, z rękami na oparciach.

Opowiadam w skrócie o wyprawie mojego przodka Estebana z Hiszpanii do Argentyny, lecz poirytowany wyniosłością mężczyzny, nie wspominam o tym, że ten kawałek metalu przetrwał również pożar...

-- Czyli przedmiot został przywieziony do Argentyny w 1878 roku.

-- Zgadza się. A teraz może pan mi coś wyjaśni. Czego się pan dowiedział po obejrzeniu wisiorka? I dlaczego pan Hannibal jest nim tak bardzo zainteresowany?

Jego usta wykrzywiają się w sztucznym, nieprzyjemnym uśmiechu.

-- Fundacja pana Hannibala jest szczególnie zainteresowana okresem hellenistycznym. Zakładam, że nigdy nie uczyłeś się greki, młody człowieku. W przeciwnym razie rozpoznalbyś niektóre starożytne, greckie litery wygrawerowane na wisiorku.

-- Ten kawałek metalu pochodzi z Grecji? To co w takim razie robił w Hiszpanii? Ile ma lat? Czy wie pan, co jest na nim napisane?

-- Powoli -- mówi Cortès z ciągłym uśmiechem na twarzy. -- Zaczniemy od tego, że nie wiem, co jest na nim napisane. Niektóre z tych wygrawerowanych symboli to rzeczywiście greckie litery, ale one same w sobie nie mają żadnego sensu. Ten wisiorek jest fragmentem większej całości, lecz niestety fundacja nie wie, gdzie znaleźć resztę. I podobnie jak ty, nie mam pojęcia, skąd on pochodzi ani dlaczego znalazł się w Hiszpanii pod koniec XIX wieku. Jeśli chcesz poznać datę i miejsce jego pochodzenia, musisz nam pozwolić go przebadać w naszym specjalistycznym laboratorium.

Dostrzegam nagły błysk chciwości w oczach Cortèsa i w głowie włącza mi się alarm. Sięgam w kierunku biurka, by zabrać swój wisiorek, lecz Cortès jest szybszy. Trzymając go za skórzany pasek, macha nim przed moimi oczami, jakby chcąc mnie zahipnotyzować. Szepcze z fałszywą nutą w głosie:

-- Oczywiście dostaniesz go z powrotem wraz ze szczegółowym raportem z przeprowadzonych analiz. Fundacja jest bardzo hojna dla tych, którzy pomagają nam w prowadzeniu badań historycznych.

-- Dość tego. Proszę mi oddać wisiorek -- wyciągam dłoń i staram się mówić tak, by głos mi nie zadrżał.

-- A nie wolałbyś jeździć pięknym, sportowym samochodem? Czy twoi dziadkowie nie woleliby przejść na zasłużoną emeryturę zamiast wciąż tłuc się do Buenos Aires, by sprzedać bydło na targu Ignas? Obecne ceny mięsa nie są najwyższe...

Czuję ogromny niepokój. Skąd Cortès tyle wie na temat mojej rodziny? I dlaczego tak desperacko próbuje zdobyć ten "bezwartościowy kawałek złomu"?

Cortès powoli umieszcza wisiorek w mojej dłoni, a uśmiech znika z jego twarzy. Spogląda na mnie ze smutkiem i mówi:

-- Wielka strata dla historii... Niemniej fundacja chciałaby zachować... swego rodzaju fotokopię oryginału. Słyszałeś kiedyś o drukowaniu w 3D? No tak, po kryzysie finansowym w Argentynie zmniejszono finansowanie uniwersytetów. Ale moje źródła doniosły mi, że władze twojej uczelni mają nadzieję pozyskać takie urządzenie. Być może fundacja mogłaby sfinansować taki zakup? I może chciałbyś na własne oczy zobaczyć, w jaki sposób taka drukarka tworzy identyczną kopię dowolnego przedmiotu, który do niej włożysz? Mam takie urządzenie w pokoju obok.

Cooo... Myśli w mojej głowie zderzają się ze sobą niczym kule bilardowe. Moja ciekawość sięga zenitu i mimo braku zaufania do tego zbyt dobrze poinformowanego człowieka, chyba czuję się przekonany... W końcu cel jest szczytny! Drukarka 3D na uniwersytecie?

To byłoby wspaniałe! Jednocześnie mógłbym dotrzymać złożonej dziadkowi obietnicy, że nigdy nie spuszczę wisiorka z oka, bo będę obecny przy jego kopiowaniu. Maldito, no dobra!

Nigdy bym nie zgadł, że zaraz za tym eleganckim gabinetem urządzonym w antycznym stylu znajduje się kolejne pomieszczenie: ultranowoczesne, sterylne i pozbawione okien. Stojąca w nim maszyna warkocze cicho niczym futurystyczny robot. Podłączona jest do kilku komputerów i innych urządzeń i wpatruję w nią jak zahipnotyzowany, obserwując jej niezwykle działanie. Cortès pokazuje mi poszczególne etapy trójwymiarowego drukowania.

-- Stojące w gabinecie antyki to doskonale repliki wykonane z gipsu modelarskiego przy użyciu techniki wytwarzania przyrostowego opracowanej przez MIT, którego działalność sponsoruje oczywiście fundacja. W tym przypadku jednak skorzystam z techniki FDM, czyli modelowania z wykorzystaniem łączenia stopionego materiału, dzięki której można "wydrukować" metalowy przedmiot, a "atrament" zastępuje wosk, ceramika, tworzywo sztuczne lub inny materiał.

Mój wisiołek, bez skórzanego paska, leży na szklanej półce w środku jakiejś półprzezroczystej kuli.

-- Najpierw w programie do projektowania komputerowego modeluję przedmiot, który chcę wydrukować w 3D. Potem dostosowuję ustawienia druku, takie jak szybkość, grubość warstwy i dokładność, a następnie ustawiam układ dysz, generując kod G. Czy chcesz uruchomić proces drukowania?

Naciskam klawisz "Enter" i obserwuję, jak dysza przesuwa się za osłonę termiczną aż na koniec ramienia drukarki, gdzie zaczyna układać miniaturowe pasma płynnego, metalicznego materiału: najpierw tworzy kontur, a potem wypełnia środek, warstwa po warstwie, aż do ukończenia całego przedmiotu. Kolejno nakładane warstwy pozwalają uzyskać odpowiednią objętość. Fascynujące.

Nie wiem, ile czasu spędziłem na obserwowaniu ruchów dyszy, ale burczenie w brzuchu zmusza mnie do tego, by pomyśleć o jedzeniu. Cortès od niechcienia wręcza mi zwitek pesos, jakby czytając w moich myślach. A może po prostu ma doskonały słuch.

-- Gdzie się podziały moje maniery? Idź sobie kupić coś do jedzenia. Mam nadzieję, że lubisz kuchnię włoską. Nigdzie się stąd nie ruszam. Muszę cały czas czuwać nad przebiegiem procesu. Do końca została jeszcze godzina i cztery minuty.

Nie chcę zostawić wisiora bez nadzoru. Co, jeśli Cortès zniknie i zabierze go ze sobą? Wyczuwając moje wahanie, Cortès macha mi pieniędzmi przed oczami i patrzy na mnie zdecydowanym wzrokiem.

-- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, młody człowieku. Zlecono mi wykonanie tej kopii i otrzymałem za to sówite wynagrodzenie. Zamierzam więc doprowadzić cały proces do końca. Zapewniam cię, że nie mam zamiaru opuszczać tego pomieszczenia.

Przekonuje mnie jego pewność siebie i w końcu ulegam. Mówię sobie, że nie zaszkodzi trochę pospacerować. Biorę pesos i wkładam je do kieszeni, a następnie przeciągam się,

rozprostowuję plecy i kieruję się do wyjścia. Już prawie zapadł zmrok, niewiarygodnie! Wciągając nosem nęcący zapach jedzenia, co wywołuje gwałtowne burczenie w brzuchu. A nie, to mój telefon zaczął wibrować. Na pewno Tiago chce mi zaproponować, żebyśmy poszli razem coś zjeść. Przed odebraniem telefonu dostrzegam jednak, że mam kilkanaście nieodebranych połączeń. Dlaczego telefon nie dzwonił ani nie wibrował, gdy byłem w gabinecie Cortèsa?

-- Tiago, idź jeść beze mnie, jestem teraz zajęty...

-- Pablo? -- w słuchawce rozlega się męski głos, młody lecz zdeterminowany, mówiący z nietypowym, obcym akcentem. -- Proszę -- kontynuuje po angielsku i ledwo udaje mi się go zrozumieć. -- Posłuchaj mnie uważnie. Dzwonię do ciebie w imieniu profesora Temudjina. Jestem jednym z jego studentów, nazywam się Battushig. To właśnie mnie przydarzył się ten wypadek w mongolskich górach, o którym mówił profesor w trakcie wykładu o Drobocie. Wpadłem w szczelinę i odkryłem tam konia zamrożonego w lodzie. Po tym, jak mnie uratowano, badacze z Mongolskiej Akademii Nauk znaleźli jeźdźca i parę innych przedmiotów, które pozwoliły ustalić, że śmierć nastąpiła pod koniec czwartego wieku przed Chrystusem. Wtedy jednak firma Hannibal Corp przejęła kontrolę nad całą operacją i samolotami z chłodniami przetransportowała wszystkie znaleziska do centrum kriogenicznego w Massachusetts w Stanach Zjednoczonych. Były student mojego uniwersytetu, który tam pracuje, powiedział mi, że jeździec miał przy sobie weksel i przepustkę wojskową podpisaną przez Ptolemeusza, generała Aleksandra Wielkiego, w 326 roku p.n.e. Jeździec miał też przy sobie pewien metalowy przedmiot pokryty różnymi symbolami, bardzo podobny do tego, który nosisz na szyi.

-- Nic z tego nie rozumiem!

-- Posłuchaj. Na podstawie zdjęć, które zrobił ci profesor Temudjin, udało mi się ustalić, że twój wisior jest częścią pięcioramiennej gwiazdy. Taki sam fragment miał przy sobie jeździec z Mongolii i taki sam skradziono w Egipcie. Te trzy części idealnie pasują do szablonu. Gwiazdę, o której mowa, nosił Aleksander Wielki, jeden z największych zdobywców w historii świata. Mam nadzieję, że nie oddałeś ani nie sprzedałeś swojego wisiorka?

-- Nie, odmówiłem. Ale Señor Cortès właśnie przygotowuje jego trójwymiarową kopię w celach naukowych, na zlecenie Fundacji Historii Ludzkości sponsorowanej przez pana Hannibala i...

Przerywam, słysząc po drugiej stronie odgłos wielkiego niezadowolenia. Battushig kontynuuje.

-- Wybacz. Fundacja to tylko przykrywka. To sam John Fitzgerald Hannibal chce zdobyć twój wisior. I trzeba zrobić wszystko, żeby mu się to nie udało! Spotkałem tego człowieka. Uwierz mi, jest niesamowicie niebezpieczny.

-- Ale... ja...?

-- Pięcioramienna gwiazda to pieczęć wszechmocy, dzięki której Aleksander był

niezwyciężony. Ale jednocześnie doprowadziła go ona do szaleństwa. Dlatego Ptolemeusz połamał gwiazdę na pięć części i rozdzielił je między swoich najlepszych jeźdźców z poleceniem, by wywieźli je jak najdalej od Aleksandra. Hannibal ma w tej chwili co najmniej dwie części. Ale jeśli przy użyciu swojej sieci wywiadowczej, zasobów finansowych i najnowocześniejszej technologii znajdzie wszystkie fragmenty, będzie mógł je połączyć z powrotem w całość i zrekonstruować gwiazdę. Wtedy stanie się równie potężny i niezniszczalny co jeden z największych zdobywców -- i dyktatorów -- na świecie! Wraz z członkami naszej "Sieci" staramy się go powstrzymać, ale on zawsze wyprzedza nas o krok! Ten Cortès to jakiś pośrednik. Ma za zadanie odebrać twoją część. Nie możesz mu na to pozwolić!

Od tych wszystkich rewelacji zaczyna mi się kręcić w głowie. Mamrocę niewyraźnie:

-- Ale... mój wisiołek... kopia 3D... Señor Cortès...?

-- Hannibal nie może go dostać w swoje ręce! Znajdź jakiś sposób, żeby jak najszybciej odzyskać wisiołek, i uciekaj stamtąd. Ukryj go i schowaj się gdzieś, ale najpierw pozbydź się swojego telefonu, żeby Hannibal nie mógł cię już dłużej namierzać. I nie korzystaj ze swojego komputera. On ma wszędzie swoich szpiegów... a "Sieć" jest... Krrr... Krr... Jamm... Krr...ed... Po... ..wodzenia.

Mój rozmówca nagle się rozłącza. Serce wali mi w klatce piersiowej i zaczynam się naprawdę bać... Jak ja mam odzyskać swój wisiołek i uciec stamtąd tak, żeby nikt mnie nie złapał?

-- Już prawie gotowe! -- ogłasza Cortès, zamykając za mną drzwi. -- Pospieszmy się.

Ledwo za nim nadążam po wielkim obżarstwie w kilku *pulperias*, tak jakby miało ono zagłuszyć strach wywołany opowieścią Battushiga. Pulperia to połączenie kawiarni i sklepu, gdzie można kupić prawie wszystko, a zwłaszcza jedzenie, i jest ich mnóstwo w tej dzielnicy. Wciąż mam ze sobą tłustą papierową torbę, na widok której Cortès marszczy nos z obrzydzeniem i kieruje mnie do gabinetu.

-- Zostaw tam to wszystko.

Wykonuję polecenie i czym prędzej wracam, żeby zobaczyć, jak urządzenie kończy drukowanie trójwymiarowej kopii mojego wisiorka.

Efekt jest zdumiewający. Po nałożeniu ostatniej górnej warstwy materiału dysza drukarki przerywa swój hipnotyczny taniec i powoli wraca wzdłuż mechanicznego ramienia, które następnie składa się i chowa do środka. Do gorącego wydruku przykładana jest następnie płyta chłodząca w celu obniżenia temperatury do bezpiecznego poziomu. Po zakończeniu tego etapu płyta również się wycofuje, a pokrywa zabezpieczająca rozsuwa się, odsłaniając gotową replikę. To niezwykle zaawansowane urządzenie zdołało utworzyć identyczną kopię mojego wisiorka: symbole zostały odwzorowane niesamowicie dokładnie, a materiał przypominający brąz nosi nawet te same ślady zużycia!

Cortès, o którego istnieniu prawie już zapomniałem, obserwując z zafascynowaniem końcówkę procesu, przekazuje mi następnie wisiorek, trzymając go pęsetą za skórzany pasek. Drugą ręką wkłada replikę do czegoś w rodzaju kuferka na kosmetyki. Po otwarciu wieka w środku widać rzędy równo ułożonych pesos.

-- Kopia jest idealna. Nikt nie będzie w stanie stwierdzić różnicy. Możesz ją zabrać ze sobą... i pieniądze też. Tak czy inaczej, uniwersytet otrzyma drukarkę 3D w ciągu następnych kilku dni.

Zaczyna mi się kręcić w głowie. Oferta Cortèsa jest diabelsko kusząca, nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, co zrobiłbym z taką ilością pieniędzy, to musi być fortuna... Wciąż jednak mam w pamięci ostrzeżenie Battushiga, które brzmi niczym głos sumienia z drugiego końca świata. Biorę głęboki oddech i patrzę Cortèsowi prosto w oczy.

-- Najpierw chciałbym sprawdzić jakość kopii w porównaniu do oryginału.

Cortès wzdycha z irytacją i podchodzi do kuli, gdzie znajduje się mój wisiorek. Otwiera ją i kładzie oryginał obok kopii, korzystając z pęsety i szkła powiększającego. Zaczynam dramatyzować:

-- Jeśli dziadek dowie się, że przehandlowałem rodową pamiątkę, będę mieć ogromne kłopoty. Może pan odłożyć swoje szkło powiększające, wygląda wystarczająco podobnie. Muszę tylko coś sprawdzić -- oznajmiam, biorąc do rąk oba przedmioty.

Ważę je w dłoniach i spaceruję po pomieszczeniu niczym macho, próbując naśladować

Rambo. Następnie odwracam się w stronę Cortèsa.

-- Dobrze, może być. Zgadzam się na pańską propozycję.

Wracam do stołu i, odwrócony plecami do Cortèsa, odkładam kopię i jednocześnie wsuwam oryginał do kieszeni džinsów, a potem biorę kuferek i zmierzam do wyjścia. Drogę blokuje mi jednak automatyczny pistolet z tłumikiem, wymierzony prosto w moją twarz i gotowy do strzału.

-- Nie było to zbyt wyrafinowane. Nikt nie oszuka pana Hannibala. Cofnij się powoli i odłóż oryginał z powrotem... Nie chciałbym ubrudzić sobie ścian twoim ptasim mózdzkiem. Same problemy.

Czuję pojawiające się kropelki potu u nasady włosów. W panice omiatam wzrokiem pomieszczenie, desperacko szukając wyjścia niczym mysz w pułapce. W tym momencie dostrzegam błysk obiektywów kamer ukrytych w ścianach. Nie było szans, żeby tamten manewr pozostał niezauważony. Mój ptasi mózdzek podsuwa mi szalony pomysł: odskakuję w lewo i uderzam Cortèsa kuferkim w twarz. Pistolet strzela z ledwie słyszalnym odgłosem, a siła uderzenia powoduje, że wypuszczam z ręki kuferek, który leci na drugi koniec pomieszczenia. Chwiejąc się na nogach, Cortès próbuje wycelować we mnie rewolwer. Nie mogę mu na to pozwolić. Nabuzowany adrenaliną, rzucam się na niego i wyrywam mu broń z ręki. Instynktownie odskakuję w tył i wymierzam w niego pistolet.

-- Robisz ogromny błąd -- stwierdza ponuro Cortès.

Cofam się w kierunku drzwi, wychodzę i zatrzaszukuję je za sobą. Nie mają zamka! By zablokować klamkę, przystawiam do drzwi krzesło z gabinetu. Moje ręce trzęsą się jak szalone, obraz rozmywa mi się przed oczami, a krew gwałtownie pulsuje w skroniach. Chyba już zupełnie straciłem rozum! Nie tracę jednak czasu na rozważania, tylko uciekam co sił w nogach, kierowany pierwotnym instynktem przetrwania... Wpadam na grupkę gapiów na ulicy, którzy obrzucają mnie obelgami. Słyszę rozrywający bębenki w uszach, przeraźliwy okrzyk kobiety:

-- On ma broń! Dzwoncie na policję!

Uciekam. Nie mogę się sobie nadziwić, że w obecnej sytuacji jestem w stanie zachować taki spokój. Wrzucam broń i telefon do pierwszego napotkanego kosza na śmieci. Muszę gdzieś uciec, ukryć się i zniknąć z powierzchni ziemi. Jestem teraz zbiegiem...

Gdy babcia Helga po raz pierwszy zobaczyła estancję, wykrzyknęła: "Och, mein Ramundo, konie na twojej pampie przypominają kolorowe kwiaty w ogrodzie..."

Nie wiem, dlaczego nagle przyszła mi na myśl ta rodzinna historia. Przez noc pokonałem wiele kilometrów: autobusem, autostopem, ciężarówką, a potem pieszo, by wrócić na farmę. I zabrać stamtąd najlepsze kwiaty. Każdy rozsądny człowiek stwierdziłby, że to czyste szaleństwo, bo przecież jest to pierwsze miejsce, w którym będą mnie szukać. Światła w domu wciąż się palą. Wyobrażam sobie zaniepokojenie dziadków, gdyby zapukali do nich policjanci, albo raczej najemnicy Hannibala, i powiedzieli im o moim zniknięciu lub zaczęli grozić. Ale jeśli mam uciekać, to nie dam rady zrobić tego sam. Zakradam się po cichu do pomieszczenia z ekwipunkiem. Wnętrze jest ledwo widoczne w świetle księżyca. Chwytam pełny zaprzęg, dosyć zdziwiony nietypową wagą siodła, a następnie wymykam się na zewnątrz i udaję w kierunku zagrody dla koni. Nie muszę nawet gwizdać, by przywołać Tormentę. Wyczuła moją obecność i wesoło rży w niecierpliwym oczekiwaniu.

-- Ciszej, Tormento -- uspokajam ją, głaszcząc delikatnie, podczas gdy szczęśliwa klacz truchta w tę i z powrotem. -- Nie ma teraz czasu na zabawę. Czeka nas bardzo długa podróż...

W trakcie siodłania klaczy odkrywam w tybince nieoczekiwany ekwipunek. Księżyc zakryły teraz chmury, więc po omacku identyfikuję zawartość: jest to bukłak z miękkiej skóry i zapas jedzenia. Dziadek zapewne przeczuwał, że wrócę... Przekładam to wszystko do torby i zamykam zagrodę. Wsuwam stopę w strzemię i podnoszę się, by usiąść w siodle wyścielonym grubą owczą skórą. Cieszę się, że zatrzymałem stare siodło dziadka, którego używał jako gaucho. Jest w nim tak wygodnie jak w fotelu. Wystarczy sobie wyobrazić, przez co musieli przechodzić gauchos spędzający w siodle po 6--8 godzin dziennie. Podczas przenoszenia stad na nowe pastwiska, szczególnie latem, czasem spali pod gołym niebem. Zdejmowali wówczas siodło, rozkładali go płasko na ziemi i nakrywali owczą skórą, przekształcając je w niesamowicie wygodne łóżko. Rzucam ostatnie spojrzenie w kierunku estancji i na myśl o tym, że mogę już nigdy nie zobaczyć dziadków, do oczu mimo woli napływają mi łzy. Otrząsam się ze wzruszenia i zażenowany własnym sentymentalizmem, wyobrażam sobie, że jestem twardym gaucho, skłaniając Tormentę do przejścia w galop. Zmierzamy razem na południe, w dzikie tereny, gdzie najemnicy Hannibala nie będą w stanie mnie znaleźć. Kieruję w stronę gwiazd coś w rodzaju modlitwy, prosząc je, by czuwały nad moimi dziadkami. A także nad Battushigiem, profesorem Temudjinem i wszystkimi ludźmi, którzy próbują pokrzyżować nieczne plany Hannibala...

Granatowy atrament powoli ustępuje z nieba pod wpływem wschodzącego słońca, którego promienie najpierw rzucają białą poświatę na wysoką trawę, a następnie zabarwiają żółtą na pomarańczowo. Dopiero później, w pełnym słońcu, nabierają one koloru stonowanej zieleni. Jak długo przemierzamy już z Tormentą to bezkresne morze trawy? W

oddali słyszę warkot silnika traktora, do którego wkrótce dołączają kolejne. W tych rejonach to nie kogut zwiastuje wschód słońca, lecz wielkie maszyny przygotowujące się do uprawy rozległych połaci ziemi. Na tych preriach, gdzie niegdyś wypasano tysiące sztuk bydła, pastwiska stopniowo ustępują miejsca polom uprawnym, na których hoduje się modyfikowaną genetycznie soję, "zielone złoto" i główne źródło krajowych przychodów z eksportu. Modyfikowana genetycznie pszenica, kukurydza i słonecznik są odporne na wszelkiego rodzaju środki owadobójcze, co pozwala uzyskać maksymalną wydajność uprawy. Jednak nasiona są sterylne i nie można obsiać nimi pola w następnym roku -- trzeba je ponownie kupić od bezwzględnych międzynarodowych korporacji. Czy dążenie do maksymalizacji wydajności nie sprawi, że któregoś dnia przyroda się zbuntuje i każe nam zapłacić za to niezrównoważone, intensywne rolnictwo? Ta myśl przypomina mi o Tiago, który nie dość, że jest pacyfistą, to jeszcze angażuje się w różne kampanie na rzecz ochrony środowiska i przeciwko globalizacji -- kiedy akurat nie jest zajęty flirtowaniem, ma się rozumieć! Mimowolnie się uśmiecham, choć w głębi duszy czuję przygnębienie i samotność. Mam świadomość, że wyruszając w nieznane, kupiłem bilet w jedną stronę i zostawiłem za sobą wszystko, co kocham, bez możliwości powrotu. Tormenta potrząsa łbem na boki i tupie lekko nogą, jakby w proteście pytając mnie: "A co ze mną? Mnie nie kochasz?" Głaszczę ją po karku i zachęcam do kontynuowania podróży.

-- Już prawie dotarliśmy do strumienia, gdzie będziesz mogła się napić i trochę odpocząć. Mnie też przydałaby się jakaś przerwa na przekąskę. Co o tym myślisz?

Tym razem Tormenta kiwa głową, a ja puszczam lejce i pozwalam jej przejąć kontrolę nad podróżą z pełnym zaufaniem. Korzystając z chwili odpoczynku, rozciągam się i masuję obolałą szyję, próbując odegnać strach przed niepewną przyszłością.

Tormenta zaprowadziła nas nad szemrzący strumyk, przy którym rosną szarańczyn i *ombùs*, ogromne rośliny zielne odporne na warunki panujące na stepach i zapewniające upragniony cień w czasie upałów. Zdejmuję z mojej klaczy siodło i uzdę. Parska i otrząsa się niczym szczeniak, a potem idzie się napić wody ze strumyka. Ściągam owczą skórę z siodła i rozwijam ją na ziemi między dwoma kępami jadłoszynu, niezwykle słodkiej rośliny chętnie zjadanej przez trzodę. Tormenta będzie zachwycona. Następnie na rozłożoną skórę wysypuję zawartość torby i kieszeni, by zrewidować ekwipunek i lepiej ocenić swoje szanse przeżycia w nadchodzących dniach.

Gdy rozpakowuję jedno z zawiniątek od dziadka, wyczuwam apetyczny zapach *chimichurri*. Z wdzięcznością wgryzam się w ogromny grillowany kawałek *bife*, wołowiny marynowanej w ostrym sosie z czosnku, pietruszki, pomidorów, oliwy i tymianku. Pochłaniam go łapczywie jak człowiek z Cro-Magnon. Potem z przyjemnością oblizuję opakowanie i swoje palce -- z dala od babci Helgi, która w takiej sytuacji nie mogłaby się powstrzymać od rzucenia karcącego spojrzenia w moją stronę... Z miłym uczuciem sytości wracam do strumienia, by umyć ręce i twarz oraz napełnić bukłak.

Szybko przeglądam swój ekwipunek. Lasso. Duży bochenek chleba. Opakowanie *yerba mate* i zapalki. Rozpalenie ogniska, by zagrzać wodę na herbatę nie wchodzi w grę. Wciąż jestem zbyt blisko domu i nie mogę sobie pozwolić, by mnie wyśledzono. Mam też ze sobą *facón*, duży nóż, który *gauchos* noszą zatknięty za szerokim pasem na plecach. Wsuwam go z powrotem do pokrowca w nadziei, że nie będę musiał go używać. Jest też mój Drolot i laptop. Cóż za zabawny kontrast między tradycjami *gauchos* a światem nowych technologii, który wydaje się teraz tak bardzo odległy. Niesamowicie korci mnie, by włączyć komputer, pogadać z Tiago lub polatać Drolotem jak latawcem, nie martwiąc się o nic. Spoglądam z wyrzutem na źródło całego nieszczęścia: pobłyskujący na owczej skórze kawałek metalu, przez który nie mogę wrócić do normalnego życia. Mam ochotę go zniszczyć, rzucić w wysoką trawę i sprawić, by zniknął na zawsze. Wzdycham głęboko. Wiem, że to niedojrzałe z mojej strony, ale muszę przyznać, że ten przedmiot jest dla mnie wielkim obciążeniem. Nagle czuję ciepły oddech na szyi. Przez szum trawy i gałęzi poruszanych nieustannymi podmuchami wiatru nie usłyszałem, kiedy podeszła do mnie Tormenta. Próbuję się do niej przytulić, ale odpycha mnie łbem i przewraca na owczą skórę. W odpowiedzi wybucham śmiechem.

-- Masz rację. Powinienem się przespać. Będzie się mi lepiej myślało po drzemce.

Zadowolona Tormenta odwraca się do mnie tyłem i zaczyna skubać długą trawę. Czuję, jak moje mięśnie powoli się odprężają i zapadam w sen.

Prześladują mnie dziwne sny: wybucha pożar i łąka zamienia się w piekło, a ogień podsycają gwałtowne podmuchy wiatru. Pochyla się nade mną jakaś zła twarz wykrzywiona uśmiechem, która nosi maskę z czarnymi piórami symbolizującymi śmierć. Ten widok mrozi krew w moich żyłach i nagle się budzę, krzycząc i rzucając się w panice. Chwytam i wyrywam palcami coś dziwnie miękkiego. Przenikliwie krzyki prawie rozrywają

mi bębenki w uszach. Jestem cały oszołomiony, a moje serce wali jak szalone, gdy nagle uświadamiam sobie, że właśnie nastraszyłem reę, czyli czarną kuzynkę strusia. Ptak ten dorównuje wzrostem człowiekowi, a jego nazwa *guaraní* w języku Indian znaczy "duży pajak". Spanikowany ptak macha swoimi czarnymi skrzydłami, kłapie dziobem i biega zygzakiem w tę i we w tę, a potem błyskawicznie ucieka, sadząc wielkie susy. Wypuszczam z ręki czarne pióra, które niechcący złapałem palcami, i obserwuję, jak wirują na wietrze, a potem znikają w oddali. Pocieram twarz, by się obudzić na dobre. Słońce jest już w zenicie i pora ruszać w drogę. Pakuję swój ubogi dobytek rozrzucony dookoła przez ciekawską reę i przeklinam na widok okruszków, bo tylko tyle zostało mi z całego bochenka chleba. Bukłak jest rozszarpany na kawałki i nie nadaje się do użytku. Na szczęście mój laptop i Drolot uniknął spotkania z pazurami i dziobem ptaka. W trakcie składania owczej skóry z przerażeniem odkrywam jednak, że zniknął wisiołek!

Ależ ze mnie idiota! Skórzany pasek, którego używałem do zawieszenia go na szyi, wciąż znajduje się w gabinecie szemranego handlarza antyków w Buenos Aires. Powinienem był znaleźć jakiś sposób, żeby zawiązać wisiołek wokół szyi, zamiast trzymać go luzem w kieszeni albo na owczej skórze w środku pampy, gdzie każdy mógł go sobie zabrać! Gorączkowo przeszukuję na czworakach teren wokół, sprawdzając wszystkie miejsca, w których widać ślady pozostawione przez ptaka. Rozcinam sobie skórę na dłoniach i ramionach, przeczesując kępy rosnącej na pampie trawy o liściastych łodygach. Jej białoróżowe wiechy są co prawda przepiękne, ale liście ma ostre jak brzytwa. Nic z tego. Z wściekłością chwytam *facón* i wycinam całą roślinność dookoła, próbując znaleźć ten przekłety wisiołek, ale moje wysiłki są daremne. Gdzie on się podział???

Ten przeklęty wisiołek doprowadzi mnie do zguby. Mam za zadanie trzymać go w bezpiecznym miejscu i pozostawać w ukryciu, w czasie gdy "Sieć" Battushiga szuka sposobu, by go odebrać -- i przy okazji mnie uratować, mam nadzieję. Z powodu tego przeklętego kawałka metalu rozpadł się cały mój świat, a teraz na dodatek go zgubiłem na bezkresnej pampie. Gdyby był tu profesor Temudjin ze swoim Drobotem, mógłby przeszukać teren przy użyciu wbudowanego wykrywacza metalu! Mógłbym wysłać mój Drolot na rekonesans, ale nie poradziłby sobie zbyt długo z silnym wiatrem. A jeśli zacząłbym sterować moim urządzeniem przy pomocy laptopa, szpiedzy Hannibala szybko by mnie namierzyli. Mogę zrobić tylko jedną rzecz: wzniecić pożar na prerii, a potem dokładnie przeczesać pogorzelnisko w poszukiwaniu wisiora. Skoro przetrwał pożar na farmie mojego przodka Estebana w Hiszpanii, to z pewnością może przetrwać kolejny sto lat później! Wyjąłem pudełko z zapalnikami i już szykowałem się, by zapalić jedną z nich, lecz powstrzymały mnie przed tym wpojone przez dziadków wartości, jakby jakaś niewidzialna ręka złapała mnie za ramię. Mocno wiejący w różnych kierunkach wiatr raczej nie pozwoli mi kontrolować rozprzestrzeniających się płomieni, a gdyby pożar dotarł do pól, zniszczyłby też uprawy. Ciężko pracujący na swoje utrzymanie farmerzy zapewne mieliby ochotę posiekać mnie na kawałki. Krzyczę ze złości i rzucam pudełko zapalników na torbę, zrobioną ze skóry krów wyhodowanych na estancji mojego dziadka. Noszę ją już od szkoły podstawowej i jest w zasadzie niezniszczalna. Nagle przychodzi mi na myśl odległe wspomnienie ze szkoły...

W ramach desperackiej próby uniknięcia zapłaty po przegranej w grze w kulki, mój kolega z klasy Antonio Suarez uznał, że połknie wszystkie swoje kulki, przez co prawie się udusił. Dyrektor szkoły zainterweniował i pomógł mu wypluć większość szklanych kulek, ale nigdy się nie dowiedziałem, w jaki sposób udało mu się wydostać te, które utknęły w jego wnętrznościach... Nieoczekiwane wspomnienie podsunęło mi właściwe rozwiązanie zagadki i nagle zrozumiałem, co musiało się wydarzyć. Rea prawdopodobnie połknęła wisiołek równie łapczywie jak Antonio swoje szklane kulki, sądząc po tym, jak szybko uporała się z chlebem. Jeśli nie chcę spędzić reszty życia, grzebiąc w ptasich odchodach na ogromnej pampie, muszę za wszelką cenę złapać to ptaszysko!

Ponieważ rea biega z prędkością 60 km na godzinę i może się rozpędzić nawet do 80 km na godzinę, na pewno nie dogonię jej pieszo. Gwiżdżę na Tormentę, która pasie się gdzieś w okolicy, i po chwili dostrzegam jej głowę wyłaniającą się spośród wysokiej trawy. Nadstawia uszu, rży i galopuje w moją stronę. Przerzucam torbę przez ramię, łapię uzdę i siodło i wyruszam w bezlitosny pościg za reą. Mam nadzieję, że nie jest ich w okolicy zbyt wiele, bo nie jestem ekspertem i nie zapamiętałem żadnych cech charakterystycznych, które pozwoliłyby mi odróżnić tę konkretną reą od reszty stada! Pozbywam się jednak tych negatywnych myśli i wspinam się na siodło. Z tej wysokości powinienem mieć większe szanse, by dostrzec złodziejskiego ptaka -- lub ptaki.

Uciekając, rea zostawiła za sobą ślady w postaci zdeptanej trawy i gałęzi połamanych przez

rozpostarte skrzydła, które służą jej do utrzymania równowagi. Widzę, że biegnę zygzakiem, przypadkowo i raptownie zmieniając kierunki, więc każę Tormencie zwolnić, bo inaczej zgubimy się w tym labiryncie ścieżek wydeptanych przez uciekającego w panice ptaka. Wstaję w strzemionach, osłaniam ręką oczy przed słońcem i obserwuję horyzont. Jest! Niedaleko kępy *ombúsów* dostrzegam jakiś przesuwany się czarny obiekt. Ściskam lekko Tormentę udami i klacz przechodzi do galopu, biegnąc prosto w kierunku tego niewyraźnego cienia. Żałuję, że nie mam teraz na sobie *guardamontes*. Te skórzane skrzydła uchroniłyby mnie przed zadrapaniami i ukłuciami stepowej roślinności. Moja klacz odważnie biegnie naprzód. Wkrótce dogonimy reę, która miota się niczym zwierzę w klatce pod gałęziami *ombúsa*. Czemu ona się tak wije? Mam szczerą nadzieję, że próbuje wypluć wisiołek, bo nie musiałbym wtedy się jej "pozbywać", aby odzyskać swoją własność. Lecz gdy dostrzegam, co jest przyczyną całego zamieszania, czuję wstyd z powodu tak egoistycznego myślenia.

Tormenta zatrzymuje się. Zakrwawione ciało innej rei, prawdopodobnie partnera, zostało rozerwane na kawałki i leży na ziemi obok gniazda. Nic z niego nie zostało poza fragmentami jasnożółtych skorupki jaj. Podskakująca w żałobnym tańcu rea nawet nas nie zauważyła. Ostrożnie odczepiam lasso zwisające z łęku siodła i chwytam zwinięty sznur, a drugą ręką zaczynam wywijać końcem z pętłą. Przełykam ślinę i jednym ruchem zarzucam lasso. Wielogodzinne ćwiczenia z dziadkiem nie poszły na marne -- albo po prostu mam szczęście -- i trafiam do celu. Ciągnę mocno sznur, by schwytać ptaka. Lecz w tym momencie Tormenta nagle staje dęba, rży i podskakuje w przerażeniu, zrzucając mnie na ziemię, a sama ucieka galopem. W oszołomieniu patrzę, jak schwytana na lasso rea biegnie w kółko, trzepocząc gwałtownie skrzydłami i skrzecząc jak opętana. Ściskam mocno sznur i obwiązuję go wokół nadgarstka. Gdy próbuję wstać, z gałęzi drzewa nagle spada na mnie coś bardzo ciężkiego i przygniata mnie twarzą do ziemi. Mam wrażenie, jakby ktoś zatopił mi sztylety w plecach, a oprócz tego czuję bardzo mocny, piżmowy zapach... Maldito, to puma!

Teraz mogę już zacząć panikować. Leżę na pampie twarzą w dół, z pumą na plecach, gotową złamać mi kark swoimi potężnymi szczękami, a potem schrupać najsmaczniejsze kaski mojego ciała. Klacz gdzieś zniknęła, a rea jak szalona ciągnie lasso, prawie powodując zwichnięcie mojego nadgarstka, do którego przywiązany jest drugi koniec sznura. Zapierając się z całych sił, próbuję zrzucić napastnika z pleców i zmusić go, by zabrał z nich swoje łapy, ale w rezultacie zwierz jeszcze głębiej wbija pazury w moje ciało. W ogóle co u licha robi puma na pampie, tak daleko na północy? Przeważnie te drapieżniki polują na owce z patagońskich farm, ale może tam też panuje kryzys i musiały opuścić swoje terytorium i spróbować szczęścia na północy? Przed rozwiązaniem tej hipotetycznej kwestii muszę jednak znaleźć jakiś sposób, by pozbyć się tej bestii ze swoich pleców, zanim zrobi ze mnie mielone *bife*, podobnie jak w przypadku rei!

Z tyłu karku czuję zbliżający się, gorący oddech pумы i jeśli szybko czegoś nie wymyślę, będzie po mnie. Wyginam plecy w łuk i zapieram się kolanami i przedramionami, próbując doprowadzić zwierzę do utraty równowagi. Puma ryczy z wściekłością i wbija pazury w moje mięśnie czworoboczne. To był bardzo zły pomysł. Przeszywa mnie straszliwy ból. Okrzyki cierpienia tłumią kępki trawy, w które wciśnięta jest moja twarz. Teraz wystarczy, że puma lekko przycisnie, by złamać mi kark. Nagle słyszę jednak buńczuczne rżenie i czuję, że bestia, rozproszona widokiem galopującego konia, powoli chowa pazury i zmienia pozycję na moim grzbiecie. Wyobrażam sobie, jak odwraca łeb w kierunku wojowniczo nastawionej Tormenty, która biegnie mi na ratunek mimo wrodzonego strachu przed drapieżnymi kotami. Puma wydaje z siebie przerażający ryk i schodzi z moich pleców, by rzucić się na nowego agresora.

Uwolniony spod ciężaru drapieżnika i jego pazurów, przewracam się na bok i podnoszę, na ile jestem w stanie. Ciężko dysząc, opieram się na kolanach. Bestia głęboko wbiła pazury w klatkę piersiową i kark Tormenty, atakując ją zaciekle. Moja klacz chwieje się pod ciężarem napastnika i obraca wokół własnej osi z wybałuszonymi oczami, próbując strącić z siebie pumę uderzeniem o pnie drzew. Lecz puma nie wypuszcza swojej ofiary i mimo szaleńczych podrygów klaczy szykuje się, by zatopić kły w jej karku. Zelektryzowany tym strasznym widokiem, wstaję i rzucam się naprzód, otwierając z rozmachem torbę i wyciągając z niej *facón*, długi nóż gauchów. Z wojennym okrzykiem na ustach szarżuję w stronę pумы i raz po raz wbijam wściekle nóż w jej ciało, aż w końcu zwierzę wypuszcza Tormentę ze swoich łap. Bestia spada bezwładnie na ziemię. Klękam przy niej i znów zaczynam dźgać jej ciało, aż w pewnym momencie czuję, jak Tormenta ciągnie mnie za kołnierzyk koszuli, wydając z siebie błagalne odgłosy. Upuszczam w końcu nóż, jakby budząc się z koszmaru, i zanurzam twarz w grzywie Tormenty. Mocno przytulam się do jej karku, a potem wybucham płaczem. Nagle dopadają mnie potężne zawroty głowy, obraz przed moimi oczami rozmywa się i czuję, że tracę przytomność. Nieważne, co się teraz stanie -- najważniejsze, by moja Tormenta była bezpieczna...

-- Olà, Senor. Que tal?

Hę? Ktoś mnie pyta, czy wszystko w porządku? Mrugam powiekami i próbuję usiąść, ale fala okropnego bólu zmusza mnie, by z powrotem położyć się na czymś, co jak przypuszczam jest łóżkiem lub materacem.

-- Tor... menta, mi caballo? Moja klacz?

Stojąca przy mnie mała dziewczynka uśmiecha się od ucha do ucha.

-- Nic jej nie jest. Twoja klacz jest niesamowita. Przybiegła na stację po pomoc. Mój tata znalazł cię, jak leżałeś nieprzytomny obok pumy. Przyniósł cię tutaj. Super, że się obudziłeś. Jestem Isabel. A ty?

-- Me llamo Pablo. Ale... co z reą. Uciekła?

Na moje pytanie dziewczynka reaguje śmiechem. Wręcza mi tacę z zakrwawionymi chustami, czystymi opatrunkami i bandażami, na której stoi także miska z jakąś białą substancją.

-- Tłuszcz rei. Przyspiesza gojenie ran, hahaha!

Jej śmiech jest rozbrajający, lecz ja czuję okropny strach, gdy odkłada tacę i podaje mi talerz z grillowanymi kawałkami mięsa.

-- Mięso rei. Idealne na *asado* !

Kiwam głową, ale nie mam ochoty na grillowane mięso strusia.

-- Czy w środku był może... kawałek metalu?

-- W środku czego? -- dziewczynka lekko zmarszczyła brwi.

-- W środku rei! -- prawie krzyknąłem.

Twarz dziewczynki pochmurnieje i robi krok w tył. Niechętnie wsuwa rękę do kieszeni i wyjmuje wisiołek. Wręcza mi go z westchnieniem, uśmiechając się smutno.

-- Czy mogę go zatrzymać?

Biorę wisiołek i dokładnie mu się przyglądam, sprawdzając, czy rzeczywiście należy do mnie. Tak, to zdecydowanie ten sam przeklęty wisiołek. Tym razem to ja wzdycham. Wkładam przedmiot do kieszeni i mówię:

-- Nie możesz go zatrzymać, przykro mi. Ale chciałbym ci podarować coś innego. Przejrzyj moje rzeczy i sprawdź, czy coś ci się spodoba.

Przypuszczam, że dziewczynka zdążyła już bardzo dokładnie zapoznać się z zawartością mojej torby, bo wybiega z pokoju z prędkością błyskawicy i wkrótce wraca z szerokim uśmiechem na twarzy.

-- To. Możesz mi to dać?

Odpowiadam jej uśmiechem i kiwam głową. Następnie obserwuję, jak kręci się wokoło z moim Drolotem nad głową i naśladuje głośne dźwięki silnika, a potem z impetem wybiega

z pokoju.

Mam nadzieję, że pewnego dnia uda mi się zbudować nowy, jeszcze wydajniejszy i być może bardziej zbliżony do Drobeta profesora Temudjina. A póki co, ta mała dziewczynka z pampy będzie mogła się pobawić moim Drolotem i pomarzyć...

Między Stanami Zjednoczonymi a Mongolią odbywa się nietypowa wideokonferencja:
Massachusetts, Stany Zjednoczone.

Battushig:

-- Witam, profesorze Temudjin, cześć, Salonqa. Wydaje mi się, że na podstawie zdjęcia wisiora Pabla, czyli trzeciego fragmentu gwiazdy, udało mi się rozszyfrować niektóre symbole geometryczne wygrawerowane w metalu. A w szczególności jedno słowo: AΘANΑΣΙΑ. Salonqa, ty jesteś specjalistką od starożytnej greki. Czy wiesz, co to znaczy?

Uniwersytet w Ułan Bator, Mongolia.

Jej twarz pochmurnieje, gdy odczytuje na głos:

-- A-THA-NA-SIA. Jest gorzej, niż myśleliśmy. To znaczy: NIEŚMIERTELNOŚĆ...

-- A zatem -- wtrąca się profesor Temudjin. -- Jeśli Hannibal zdobędzie wszystkie części gwiazdy Aleksandra Wielkiego i zrekonstruuje pieczęć, będzie nieśmiertelny.

-- Ale tylko na grzbiecie Bucefała! -- ripostuje Salonqa. -- A z tego, co mi wiadomo...

Salonqa nagle przerywa, ponieważ otrzymuje prośbę o pilny kontakt:

Kair, Egipt.

-- Witajcie. Mam dobrą i złą wiadomość.

Na ekranie pojawia się twarz Leyli. Sprawia wrażenie podekscytowanej i wydaje się, że ma dużo do powiedzenia.

-- Co???

-- Najpierw ta dobra: Pablo żyje.

Leyla przesyła fragment artykułu z sekcji "Inne wiadomości" jakiejś hiszpańskiej gazety. Artykuł ilustrowany jest czarno-białym zdjęciem, na którym widać martwą pumę w otoczeniu dumnych i zadowolonych argentyńskich farmerów. Na kolejnym zdjęciu widać leżącego na brzuchu młodzieńca z obandażowaną klatką piersiową. Bandaże pokryte są ciemnymi plamami.

-- W artykule mowa jest o młodym mężczyźnie, który przeżył atak pumy dzięki temu, że jego dzielna klacz pobiegła po pomoc na estancję tej rodziny. Znaleźli go i opatrzyli, a potem wszyscy okoliczni farmerzy z pampy zbiegli się, by zobaczyć pumę. Są bardzo zaniepokojeni tym, że patagońskie pumy zapuściły się aż na pampę. A mój John, który jest teraz na wakacjach u rodziny w Seattle w Stanach, mówi, że tam ciągle pada i...

-- Dzięki, Leyla -- przerywa jej Battushig. -- A więc lokalna gazeta podała tę informację do publicznej wiadomości. Niestety to oznacza, że skoro ty byłaś w stanie znaleźć Pabla, to Hannibal też wie, gdzie on jest.

-- Musi się stamtąd szybko wydostać i znaleźć inną kryjówkę! -- w głosie Leyli słycać panikę. -- Tylko jak ma to zrobić, skoro jest ciężko ranny? Hannibal na pewno już wysłał swoich ludzi, żeby go zgarnęli. Czy możemy go jakoś stamtąd wydostać, zanim Hannibal go dopadnie?

Po pełnych niepokoju słowach Salonqi zapada długa cisza. Profesor Temudjin chrząka dyskretnie.

-- Zdaje się, że sytuacja nie wygląda najlepiej... Zobaczą, czy moje kontakty w Argentynie będą w stanie nam pomóc. Wykonam kilka telefonów i dam wam znać.

-- Isabel, dejele dormir!

Jak na ironię, to głos Clary, starszej siostry Isabel, wyrywa mnie z drzemki. Clary... która ma duże oczy, czarne i lśniące tak jak włosy. I promienny uśmiech. I dołeczek na lewym policzku. A do tego porusza się z wielką gracją. Z jedwabnych nici uplotła dla mnie bransoletkę na szczęście... Jej melodyjny głos sprawia, że moje serce wali jak opętane. Boję się, że gdy otworzę oczy, nasze spojrzenia się spotkają i moją twarz obleje wielki rumieniec. Na wszelki wypadek pośpię trochę dłużej! Ale Isabel tak intensywnie "głaszcze" mnie po policzku, że otwieram oczy.

-- Twoja twarz jest strasznie szorstka, Pablito! Popatrz za okno, mamy niespodziankę!

Tak mi było dobrze w tym wygodnym łóżku. Śniłem, że wszystko się ułoży, że Clara się mną zajmie... to znaczy wspaniała rodzina państwa Ortega... tak długo, aż wreszcie zapomnę o tej całej historii z Hannibalem... Z trudem podnoszę się na łokciu i odwracam głowę w kierunku okna. Oho, widzę dobry powód, by wstać.

Moja urocza Tormenta liże okna, czyszcząc je niczym myjnia samochodowa. Uśmiecham się do Isabel i Clary, które pomagają mi się podnieść. Poruszam się równie zgrabnie co czterotonowy słoń morski po lodzie Ziemi Ognistej, tłumiąc jęk bólu, gdy odwracam się i siadam na łóżku. Czekam, aż przestanie mi się kręcić w głowie, a potem wstaję i robię kilka kroków w stronę otwartego okna. Teraz moja kolej na wizytę w myjni. Tormenta tupie kopytami i próbuje się wspiąć przez okno.

-- Spokojnie, kochana -- mówię, głaszcząc ją po głowie. -- Już do ciebie idę. Ale raczej skorzystam z drzwi.

Gdy wychodzę z domu państwa Ortega do mojej klaczy, czuję ucisk w sercu. Rany, które zadała jej puma na karku i klatce piersiowej, opatrzone są bandażami i ani ona, ani ja nie wyglądamy teraz zbyt dobrze.

-- Co wy u licha robicie na dworze? -- protestuje Senora Ortega, wycierając ubrudzone mąką ręce w fartuch. -- Isabel! -- woła, marszcząc brwi. -- Wypuściłaś klacz z boksu?

-- Nie, mamó!

-- Proszę jej nie strofować. Tormenta nie znosi przebywać w zamknięciu, więc nauczyła się otwierać drzwi.

Nagle rozlega się dzwonek telefonu i Senora Ortega przewraca oczami.

-- Odkąd spotkałeś tę pumę, telefon nie przestaje dzwonić! Kiedy ja mam skończyć te *empanadas*! Mężczyźni chcą się wybrać na polowanie ze strzelbami. Kto wie, czy na pampie nie ma więcej pum, a przecież tyle dzieci tam biega!

Gdy pani Ortega wchodzi z powrotem do domu, przeklinając pod nosem i ciągnąc za sobą Isabel, zaczyna mi burczeć w brzuchu na myśl o pierożkach mięsnych przygotowywanych przez moją gospodynię. Nagle jednak uświadamiam sobie pewną straszną rzecz, która

wypiera z mojej głowy wszystkie myśli o jedzeniu. O moim wypadku usłyszało całkiem sporo osób i być może historia ta dotarła już do najemników Hannibala. A on jest znacznie bardziej niebezpiecznym drapieżnikiem niż jakaś puma. Muszę jak najszybciej stąd uciekać! Na pewno jednak nie pojedę na grzbiecie ciężko rannej Tormenty. Rozglądam się po okolicy, by zobaczyć, czy nie mógłbym pożyczyć jakiegoś samochodu lub furgonetki, ale podwórko i stodoła są puste. Nie ma nawet traktora. Pełen żalu, odwracam się w stronę Clary.

-- Muszę teraz wyjechać, ale obiecuję, że jeszcze cię odwiedzę... to znaczy was. Mogłabyś mi pożyczyć konia?

Tormenta przygląda się z oburzeniem, jak siodłam starego wałacha pinto o srokatym umaszczeniu, którego Clara wskazała mi w zagrodzie.

-- Alberto jest najsympatyczniejszy.

Staram się nie okazywać przed Clarą, jak wielki ból sprawiają mi rany przy każdym ruchu: noszenie siodła, podnoszenie go, zapinanie popręgu, a potem wspinanie się na grzbiet Alberta. Z pewną niezręcznością dziękuję Clarze za pomoc, a potem spinam konia i oddalam się od farmy. Rozzłoszczona Tormenta oczywiście biegnie za mną. Nic nie mogło jej zmusić, by została. Po raz ostatni oglądam się za siebie. Clara, z głową w koronie długich, rozwianych włosów, stoi w wysokiej trawie i posyła mi całusa. Moje serce na chwilę się zatrzymuje. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochałem i muszę teraz zostawić swoją miłość! Mam tylko nadzieję, że Hannibal i jego ludzie nie zrobią krzywdy Clarze ani jej rodzinie...

Alberto jest bardzo porządnym koniem. Tormenta wiozła mnie przez pampę i rzekę Rio Colorado w kierunku Patagonii, aż do spotkania z pumą. Za to Alberto zawiózł mnie aż za Rio Negro, jeszcze dalej na południe. Pomimo wielogodzinnej jazdy Alberto nadal nie wykazuje żadnych oznak zmęczenia czy irytacji. Z kolei Tormenta wygląda na wyczerpaną. Już dawno przestała próbować ugryźć swojego rywala. Martwi mnie też widok krwi przesączającej się przez jej opatrunki. Postanawiam zrobić przerwę przy następnym wodopoju i zaczynam się rozglądać w poszukiwaniu bujniejszej roślinności. Mrużąc oczy, dostrzegam pogórze Andów na zachodzie, gór stanowiących naturalną granicę między Argentyną i Chile. Wciąż jednak nie widać miejsca, w którym poszarpana linia brzegowa styka się z Oceanem Atlantyckim na wschodzie. Ogarnia mnie poczucie zagubienia na tej dzikiej pustyni na północ od Patagonii, gdzie nieustannie wieje zachodni wiatr, od którego można dostać zawrotów głowy. Ten kraj jest naprawdę ogromny. Jeśli pojedę prosto przed siebie, dalej na południe, może uda mi się pokonać Cieśninę Magellana, a potem w ciągu kilku dni dotrzeć do Ziemi Ognistej. Następnie, wyruszając z miasta Ushuaia, przekroczę skute lodem archipelagi i dojadę do Przylądka Horn, gdzie wsiądę po kryjomu na jakiś statek płynący w nieznanym kierunku...

Potrząsam gwałtownie głową. Chyba już powoli wariuję od tego wiatru, a może to przemożna samotność, którą odczuwa się na tych pustynnych terenach, podsuwa mi takie desperackie wizje. Od Ziemi Ognistej wciąż dzieli mnie wiele kilometrów, więc muszę się zebrać w sobie i skoncentrować na jeździe. Krajobraz wygląda teraz inaczej: nie widać już pól uprawnych ani żadnych zabudowań, nawet opuszczonych ruin domostw, tylko same skaliste, ostro zakończone grzbiety gór. Alberto zabiera nas przez porośnięte krzakami łąki w kierunku niewielkiej doliny z krętym strumykiem. Odjeżdżałem w takim pośpiechu, że nie spakowałem nawet swojej torby ani nie pożyczyłem czystej koszuli od Senora Ortegi. Słońce pali tutaj każdy centymetr odsłoniętej skóry, więc ochoczo zsiadam z konia, by ochłodzić się w strumieniu i ugasić pragnienie razem ze zwierzętami. Następnie zajadam się fioletowo-niebieskimi jagodami Calafate. Legenda głosi, że kto zje te owoce, ten powróci bezpiecznie do Patagonii. Udaje mi się nawet znaleźć chleb Indian -- *Pan del indio*, czyli rosnący na niektórych drzewach gatunek grzybów, przypominających żółte kuleczki. Nie smakują wyśmienicie, ale po posiłku czuję przyływ energii!

Nagle Alberto zaczyna rzeć raz za razem, cichym i niskim tonem. Uszy położył płasko po sobie i uderza kopytami w miejscu, cały w napięciu, niczym cięciwa łuku. W końcu rzuca się do ucieczki. Tormenta prycha z zaciekawieniem i niepokojem, ale w przeciwieństwie do Alberta nie wpada w panikę. Zapewne wie już, jakie zagrożenie spowodowało, że Alberto stracił panowanie nad sobą. Nie mam pojęcia, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo.

Potem dostrzegam na ziemi jakiś cień i słyszę bzyczenie. Dobre dziewięć metrów nad naszymi głowami trójkątny dron monitoruje teren, walcząc z wiatrem i przesyłając zarejestrowane obrazy z powrotem do pilota. Wkrótce zauważam na niebie kolejne

punkty, to też z pewnością są drony. Podobnie jak Alberto, zaczynam ulegać panice i mam ochotę uciekać, lecz w tym momencie dron z impetem ląduje kilka metrów przede mną. Przyzwyczajona do widoku Drolotu, Tormenta podchodzi do niego i obwąchuje go. Ponieważ dron takich rozmiarów nie byłby w stanie przewieźć materiałów wybuchowych, postanawiam iść za jej przykładem i przyjrzeć mu się bliżej. Bardzo przypomina mi on model, nad którym pracują na uniwersytecie, dlatego prawie wcale nie zaskakuje mnie wydobywający się z głośnika szeleszczący głos Tiago.

-- Olà, Amigo! Zaraz nam padnie bateria, więc słuchaj uważnie. Kieruj się na wschód, aż dotrzesz do utwardzonej drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża, wzdłuż zatoki San Matías. Spotkasz tam ciężarówki Duarte transportujące soję; należą do firmy mojego ojca. Jeżdżą na trasie między San Antonio Oeste a półwyspem Valdes i cię szukają. Nie mogą jednak przejechać przez skały. Możesz podziękować profesorowi Temudjinowi -- dzięki jego interwencji szuka cię teraz cały nasz Wydział Nowych Technologii! Ruszaj w drogę... Bzzz... Crrr..

Głośnik przestał nadawać. Pod wpływem podmuchu wiatru dron wywraca się na grzbiet jak żółw. Stojąca obok Tormenta uderza kopytami, jakby chcąc mnie zachęcić do jazdy na oklep. Jednak biorąc pod uwagę ślady krwi na jej opatrunkach, wolę kontynuować podróż pieszo. Głaszczę ją po czole i przyciągam do siebie jej policzek, by dać jej całusa.

-- Dopiero jak wydobrzejesz, kochana. A teraz pobiegnę sam. Możesz iść za mną.

Zbierając resztki sił, biorę głęboki oddech i zmierzam na wschód, uważając, by nie skrócić kostki na pagórkowatym stepie. Jeśli ciężarówka jest odpowiednio duża, Tormenta może też się do niej zmieścić. Wtedy oboje moglibyśmy się wreszcie wydostać z tego piekła, do którego wpędził nas mój wisiołek!

Zbiegam w dół skalistego zbocza pokrytego ciernistymi krzewami, oddychając ciężko. Mam wrażenie, jakbym pokonywał kolejne fale skał w wielkiej prehistorycznej skorupie, idąc raz pod górkę, a raz z górki, choć teraz zbocze zdecydowanie biegnie w dół. Na horyzoncie dostrzegam spienione wody i fale Oceanu Atlantyckiego rozbijające się o wybrzeże. Utrzymując obecne tempo, wkrótce powinienem dotrzeć do drogi asfaltowej. Rzucam okiem do tyłu -- Tormenta wlecze się za mną ze spuszczonego łbem i choć normalnie pewnie stawia kroki, tym razem ostrożnie i z wahaniem stąpa po zdradliwym żwirze. Nie mogę się doczekać, aż wreszcie będę mógł ją stąd zabrać i wyleczyć jej rany...

Nierówny teren ustępuje teraz miejsca płaskowyżowi, zupełnie jakby ktoś obciął skalpelem jedną z krawędzi skorupy. Z trudem wspinam się po prowadzącym do niego zboczu, licząc, że będę mieć stamtąd dobry widok na wybrzeże. Wchodzę na płaskowyż. Lecz zamiast przyjemnego widoku czeka tam na mnie mały samolot. Nie jest to jednak samolot ze śmigłem, którym latał Saint-Exupéry, wyznaczając nowe trasy dla linii Aeroposta Argentina w Patagonii na początku lat 30. XX wieku. To prywatny odrzutowiec. Pod maszyną stoi mężczyzna w zwykłym lnianym garniturze i słomkowym kapeluszu.

-- Musiałem na ciebie czekać, młody człowieku.

Rozpoznaję głos człowieka, który skontaktował się ze mną w Buenos Aires po wykładzie profesora Temudjina. Hannibal! Moje serce zamiera. Patrzę dookoła rozbieganym wzrokiem, by ocenić szanse ucieczki. Daleko w dole zauważam opuszczoną drogę. Wydaje mi się, że dostrzegam również ciężarówkę nadjeżdżającą z północy. Gdybym zeskoczył z płaskowyżu i pobiegł z prędkością argentyńskiej lamy *guanaco*, może udałoby mi się...

-- Nawet o tym nie myśl -- przerywa mi Hannibal lodowatym tonem. -- Mój drugi pilot jest wyszkolonym snajperem, a i ja całkiem nieźle strzelam -- stwierdza, odsuwając nieco brzeg marynarki. -- Połóż wisiołek na ziemi i cofnij się powoli.

W oknie odrzutowca widzę długą, cienką lufę broni wymierzonej prosto we mnie. Po tej całej podróży perspektywa oddania wisiora temu potworowi wywołuje u mnie bezsilną wściekłość.

-- Czekam -- zagrzmiał Hannibal.

Z rezygnacją sięgam do kieszeni i wyjmuję z niej kawałek metalu. Nagle na płaskowyżu pojawia się Tormenta. Zaskoczony Hannibal wzdryga się i robi krok w tył. Ja też nie usłyszałem stłumionych wiatrem odgłosów kopyt. Szybko jednak odzyskuje opanowanie i wyciąga broń.

-- Natychmiast połóż wisiołek na ziemi albo zastrzelę konia!

Płasko położone uszy, obnażone zęby i napięte mięśnie Tormenty zdradzają, że szykuje się do ataku na Hannibala. Czym prędzej rzucam wisiołek na ziemię w kierunku Hannibala i biegnę do Tormenty z rozpostartymi ramionami. Próbuję ją uspokoić i przemawiam do niej łagodnym głosem: "spokojnie, mała". Zanim zdążyłem do niej dobiec, złapać za

grzywę i objąć ramionami jej szyję, by ją przytrzymać, Hannibal podniósł już wisiołek i zajął miejsce w samolocie. Drzwi samolotu zamknęły się za nim, a maszyna przygotowuje się do startu. Na tle hałasujących silników słyszę odbijający się echem dźwięk gwałtownie naciskanego klaksonu. Przechodzę na drugi koniec płaskowyżu. Na poboczu stoi zaparkowana ciężarówka. Krzyczę z wściekłości i wznoszę pięść w kierunku samolotu. Zabrakło ledwie kilku minut, a znów bym zniknął i zabrał wisiołek z dala od Hannibala! W tym momencie słyszę przenikliwy świst i dostrzegam blask słońca odbijający się od metalicznego obiektu wystawionego przez okno odrzutowca. Niczym robot odwracam się akurat w chwili, gdy nogi Tormenty uginają się pod nią i klacz pada na ziemię w kałuży krwi, która powiększa się z każdą sekundą... Niiieeee!!!

* * *

Podobne uczucie beznadziei towarzyszy rozsianym po świecie członkom Sieci.

- Profesorze Temudjin, Hannibal miał już wisiołek. Nie musiał strzelać do konia Pabla!
- Zupełnie niepotrzebne okrucieństwo... Ten człowiek ma niesamowicie zły i skrzywiony charakter. Jeśli zdobędzie wszechwładzę i nieśmiertelność, nikt nie zdoła go powstrzymać. Kto wie, jakie chore pomysły kryją się w jego głowie?
- A teraz ma już co najmniej trzy z pięciu fragmentów gwiazdy!
- To wyścig z czasem. Musimy być szybsi od niego i znaleźć ostatnie dwa fragmenty.
- Mamy jakieś szanse?
- Możemy próbować...